



MAKSIM GORKI

Więzienie


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

MAKSIM GORKI
Więzienie

TŁUM. WIKTOR POPEŁAWSKI

I

...Dzień był wilgotny, chłodny; nad miastem zawisły nieruchomo ponure szare chmury; na brudną ziemię padał bezdźwięczny i leniwie drobny deszcz, spowijając ulice w spłowiałą, drżącą tkaninę...

Otoczony zwartym łańcuchem policjantów, tuląc się do zimnych i wilgotnych ścian domów, szedł powoli po mokrym trotuarze gęsty tłum mężczyzn i kobiet, a nad nim niezdecydowanie i bezsilnie drżał głuchy, niewyraźny gwar.

Szare, posępne twarze, mocno zaciśnięte szczęki, oczy opuszczone ponuro, ktoś uśmiecha się błędnie i żartuje z niedbałą pewnością siebie, siłąc się ukryć upokarzające ciężkie poczucie niemocy. Chwilami rozlega się stłumiony krzyk oburzenia, ale dźwięczy matowo i niepewnie, jak gdyby ów człowiek nie wiedział, czy czas się oburzać, czy też już za późno.

Zmęczone twarze policjantów są zakłopotane, rozszoszczone, niektóre zaś tylko obojętne, niby wyrobione z drzewa. Drobne krople dżdżu błyszczą matowo na ich czapkach i wąsach. A ponad dachami domów zwisa ciężko beznadziejne szare niebo przepojone zimną wilgocią, i na tłum ludzi — pokonanych bez walki, jak ponury smutek, padają wraz z deszczem duże lepkie płatki śniegu.

— Zapędzać na podwórze! — zawołał ktoś ochrypłym głosem.

Przemoczonych, zgnębionych ludzi stójkowi zaczęli popychać brutalnie we wrota dziedzińca. Powstał tłok, ludzie jak owce, cisnąc się do siebie, wlewali się na podwórze czarną strugą. Głosy oburzenia zadźwięczały mocniej, bardziej nerwowo, dały się słyszeć przenikliwe okrzyki rozjątrzenia i cienkie głosy kobiet zadźwięczały łzami...

Wesoły, dziarski chłopak — student pierwszego kursu¹, Misza Malinin, szedł pośrodku tłumu i naiwnymi niebieskimi oczami patrzył na blade, złe, zafrasowane twarze wokół siebie. Krzyki kobiet, śmiech nerwowy, głuchy pomruk podniecały go; dusząc się w ciasnocie, pełen przygnębiającego uczucia wstydu, gotów płakać z oburzenia, rozpychając ludzi naokół, usiłował przejść czym prędzej na podwórze, aby się tam ukryć, odłączyć od wszystkich, pozostać w samotności.

...Czyjeś małe drobne ręce uchwyciły się mocno jego rękawa od palta — ujrzał przed sobą bladą twarz z wielkimi wilgotnymi oczyma. Ta twarz, mokra od łez czy deszczu, przysunęła się do jego twarzy i purpurowe, konwulsyjnie wykrzywione wargi, zaszepotały gorąco, ze drżeniem:

— Ja — nie pójdę!... nie mogę, nie chcę! On mnie pchnął... nie ma prawa... niech pan mu powie...

Dziewczynie brakło tchu, trzęsła głową, i czarna fala włosów nieposłuszenie spływała na jej mokre policzki i białe wysmukłe czoło.

— Niech się nie waży! — krzyknęła raptem, górując swoim głosem nad całym zgłębieniem, machnęła ręką, wyprostowała się jak stalowa sprężyna i oczy jej zapłonęły.

Wówczas w piersiach Miszy zapalił się ogień, piekącymi pasemkami rozlał się po żyłach, wypalił wstyd, na chwilę oślepił oczy i napełnił pierś dziką młodzieńczą odwagą. Misza szarpnął się naprzód — czarna masa ludzi rozstąpiła się pod jego naciskiem jak błoto, w które wpada kamień... Ujrzał przed sobą wysokiego człowieka w szarym szynelu, i dźwięczącym głosem zawołał:

¹kurs — tu: rok studiów. [przypis edytorski]

— Niech się pan nie waży bić!

— Ta-ek! Któż tu bije?

Jego zmęczona twarz z rudymi wąsami wykrzywiła się w niedbałą minę i, kładąc rękę na ramieniu Miszy, rzekł:

— No, proszę pana... idźże pan!

Misza widział to wykrzywienie jego twarzy, i uczył w sercu ostre ukłucie krzywdy.

— Ja — nie pójdę! — zawołał rozwścieczony. — Nie pójdziemy... myśmy nie stado! Dość gwałtów.

Wszystkie piękne i silne słowa, jakie słyszał o wolności, o godności ludzkiej, popłynęły z jego piersi gorącym strumieniem i błysnęły nad ludźmi, zapalając w jednych oburzenie, w innych — gniew.

Pijany dźwiękiem swego głosu, oszołomiony wichrem różnorodnych krzyków, zakreślił się w tłumie niby iskra w czarnej chmurze dymu i nie spostrzegł, jak go złapano, wyciągnięto z tłumy — ocknął się dopiero w dorożce w drodze do cyrkułu.

Szeroko rozwarłszy oczy, chciwie łykał powietrze i drżał pełen zdrowego i radosnego zapału, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, co zaszło. Obok niego, obejmując go wpół, siedział rewirowy, człowiek młody, z czarnymi wąsami i blizną na prawym policzku. Twarz miał ponurą; mocno zacisnął wargi i patrzył zmrużonymi oczyma przed siebie, dotykając wciąż policzka lewą ręką.

— Gdzie pan mnie... wiezie? — zapytał uprzejmie Misza.

— D-do — cyrkułu... — odpowiedział przez zęby rewirowy i twarz mu chorobliwie zadrgała.

— Czy pana uderzono? — współczująco zapytał Misza.

— Z-zęby bolą... do diabła! — wymamrotał rewirowy, pchnął dorożkarza pięścią w plecy i złym, histerycznym głosem wyjącał:

— Jedźże prędzej... bodaj cię!

Dorożkarz, siwy maleńki starzec, zwrócił do niego twarz zoraną zmarszczkami i, dobrodusznie mrugając czerwonymi zażawionymi oczyma, rzekł pocieszająco:

— Zdążymy, panie naczelniku... do więzienia — nie do cerkwi, nigdy nie za późno...

— Gadaj, gadaj! — zasyczał rewirowy. Dorożkarz przestraszony targnął lejcami i mruknął na konia:

— Ej ty... no-o...

Na ulicy, w gęstej, lepkiej mgłę migwały zafrasowane ciemne sylwetki przechodniów — zdało się, że zbłądzili z drogi w tej szarej, wilgotnej mgłę i szwendają się bezgłośnie i smutnie, nie wiedząc, gdzie iść. Z głuchym szumem i wyciem przelatywały wagony tramwajowe, pod ich kołami zapalały się złe, niebieskie iskry, a wewnątrz wagonów milcząc siedzieli jacyś nieruchomi czarni ludzie. Nieustannie dźwięczał zmęczony szczęk końskich podków o kamienie bruku, ukazywały się żółte ognie latarni, drżały niespokojnie i, nic nie oświecając — znikły, pochłonięte nieruchomym morzem chłodnej mgły. Gumowe koła dorożki podskakiwały szybko po nierównym bruku, i w piersi Miszy też poczynało coś drgać drobnym i nieprzyjemnym dreszczem, lecz jednocześnie z tym dreszczem gasnącego zapału, rozpałało się spokojne, jasne i dumne uczucie spełnionego obowiązku.

U bramy cyrkułu ktoś niziutki, gruby i szary jak mgła, powiedział ochryplym, obojętnym głosem:

— Ehe! Jeszcze jednego przywieźli... A miejsca już nie ma... A powiedzieli: niech wiozą wprost do więzienia...

— Bodaj to diabli wzięli... — zajęczał rewirowy, i nagle, zwróciwszy ku Miszy boleśnie wykrzywioną twarz, zaczął mówić z wyrzutem:

— Tak, panie studencie... tak!... powiadacie też: my za lud!... a... a chory człowiek musi, na nic nie bacząc, wozić was!

I odwróciwszy się raptownie, zawołał na dorożkarza:

— Te-e! — no, do gubernialnego!...

Misza już się miał roześmiać, ale, nie chcąc obrazić chorego człowieka, wstrzymał się, chwilę przemilczał i następnie zauważył delikatnie:

— Może by panu kreozot²...

Rewirowy nie odrzekł nic. Dopiero koło więziennego muru, schodząc z dorożki, powiedział przygnębiony:

— Próbowałem i kreozotu... nie pomaga!... Proszę.

II

Jak się okazało, w więzieniu również nie było miejsca, i Miszę umieszczono w niewielkiej celi dla przestępców kryminalnych. Siwy, słusznego wzrostu dozorca o długiej twarzy ze szpiczastą bródką i wyblakłymi nieruchomymi oczyma zamknął z hałasem grube, brudne drzwi i, nachyliwszy się do wyciętego w nich okrągłego okienka, powiedział niby w tubę, równym stłumionym głosem:

— Jak czego będzie potrzeba, to niech pan zawoła, jestem tutaj... — I znikł cicho jak mysz.

Młodzieniec spojrział ciekawym wzrokiem i, odczuwając pewien rodzaj dumy i zadowolenia ze swego spokoju, jał oglądać celę. Był to wąski długi pokój; u drzwi z lewej strony ciężkim trójkątem wystawał piec, do niego zaś szczelnie przytykała pochyła, brudna prycza na czterech nogach; ciągnęła się ona wzdłuż całego pokoju aż do wielkiego okna z grubą, żelazną kratą, pokrytą rudą warstwą rdzy. Pomiędzy pryczą i prawą ścianą była wolna przestrzeń, szerokości jakiejś półtora arszyna³, i oprócz pryczy w tym brudnym ponurym pokoju nic nie było. Pocięte rysami murowane sklepienie wyginało się niezgrabnym łukiem, dochodząc u lewej ściany prawie do poziomu pryczy; sklepienie to nadawało celi dziwny kształt prawidłowo wpół rozciętej półkuli. W najwyższym punkcie sklepienia obok prawej ściany płonęła zakurzona elektryczna lampka, oświetlając brudne ściany, pokryte plamami, pochodzącymi z rozgniecionych pluskiew i jakimiś napisami.

Nad pryczą przy piecu były nakreślone, zapewne gwoździem, wielkie kolumny cyfr — ktoś dodawał, dzielił i mnożył je, wypełniając tym pustkę dni, spędzonych tutaj i walcząc z nudą samotności... Bliżej ku oknu, na ciemnej plamie wyschłej pleśni, dużymi literami było nakreślone:

Z Wiaźmy rodem, dwa andrusy,
Wędrowaliśmy po świecie;
Gdzie bądź kopsę nieraz grypsniem,
Kupim za nią ćwiartkę chleba,
I wcinamy.

Misza uśmiechnął się, zastanawiając się nad tym, co znaczy: „wcinamy”?

— Chyba: łapczywie jemy! — pomyślał, wpatrując się w bezładne rzędy liter, wesoło rozrzuconych po ścianie. I „dwa andrusy” wydali mu się zuchwale wesołymi zawadiakami: obszarpani, zawsze na pół głodni, nigdy się nie martwią, nikogo się nie boją, ciągle włóczą się od jednego miasta do drugiego, gdzie się da „grypsną kopsę” i żyją w ten sposób, podobni drapieżnemu ptactwu wśród ludzi...

Za drzwiami celi rozległy się szeleszczące kroki i stłumiony głos zapytał gniewnie:

— Czego pan?

Misza drgnął, obejrzał się; z otworu wykrojonego we drzwiach patrzyło nań chłodne, nieruchome oko...

— Pan wołał?

— Nie...

— Więc cóż — nalegająco pytało oko.

— Nic... Ja śmiałem się — rzekł Misza.

Oko szybko podskoczyło gdzieś w górę, a następnie z korytarza doleciał matowy i jakby obrażony głos:

— Tu się nie śmieją...

— Czy zabroniono? — dobrodusznie uśmiechając się, zapytał Misza.

Nie odpowiedziano mu. Z więziennego dziedzińca dolatywał gwar głosów, gdzieś w dali na korytarzu pluskała woda, w sąsiedniej celi leniwie brzękało żelazo kajdan,

²kreozot — substancja dezynfekująca pozyskiwana ze smoły z drewna bukowego. [przypis edytorski]

³arszyn — daw. jednostka długości używana w Rosji, ok. 0,7 m. [przypis edytorski]

i wszystkie te dźwięki, zlewając się w mętny zgiełk, nie wzbudzały żadnego zainteresowania. Przed Miszą mignęła chuda, długa twarz dozorca, jego okrągłe, bezbarwne oczy, a nad nimi wysoko podniesione siwe krzaczaste brwi, szerokie czoło, obciążone żółtą pomarszczoną skórą.

— Fedka⁴, mało zielona! — wrzasnął ktoś na korytarzu, rozległ się głośny śmiech, ktoś przebiegł koło celi, ciężko tupiąc nogami...

— Ej wy kozły, ciszej tam! — rozległo się surowe wołanie.

Misza westchnął i zabrał się do czytania napisów. Na suficie, w tym miejscu, gdzie można było z łatwością dostać ręką leżąc na pryczy, ktoś bardzo starannie wypisał drukowanymi literami:

TUTAJ SIEDZIAŁ JAKÓB IGNACA SYN USOF⁵. ZA ZABÓJSTWO
ŻONY I SASZKI GRYZŁOWA, ZA ICH PODŁOŚĆ. WE STYCZNIU
TO BYŁO. 1900. WYPUŚCIŁEM IM FLAKI.

Misza drgnął znowu, uderzyła go treść napisu, a bardziej jeszcze jego staranność, w której czuć było, że Usow mocno wierzy w swoje prawo zabijania ludzi.

Chciał wyobrazić sobie Usowa, i nie znalazł dłoń ludzkiego kształtu — ten spokojny morderca malował się w jego wyobraźni jako nieforemna groźna plama, a w środku plamy gorzał równym światłem mglisty krwawoczerwony ogień. Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki i ktoś głośno zawołał:

— Baczość!

Potem zgrzytnęło żelazo, drzwi rozwarły się, do celi weszli dwaj dozorca i młodszy pomocnik naczelnika więzienia, mały człowieczek z ciemnym ostrym pyszczkiem i wystraszonymi mysimi oczkami. Szybko, z ukosa obrzucił spojrzeniem postać Miszy i w milczeniu odwrócił się od niego.

Jeden z dozorców, rudy, gruby, z wielkim brzuchem, podszedł do okna i spróbował kraty ręką; drugi, znajomy Miszy, wysoki starzec, stał nieruchomo u progu drzwi i patrzył w twarz młodzieńca swymi martwymi oczyma. Prześlizgnąwszy się u nóg Miszy, wpadła do celi — jak w zimie kłęb chłodnego powietrza — szara postać kryminalnego aresztanta, który szybko cisnął pod pryczę drewniany szkopek, mocno wysmarowany smołą, i znikł. Wyszedł i władza, głośno stukając butami i nie powiedział Miszy ani jednego słowa. Szczękneły ciężkie żelazne rygle, potem drzwi z łoskotem zamknęły na klucz i poszli dalej korytarzem, unosząc z sobą zimny, twardy brzęk kluczy.

— Baczość! — doleciał do celi Miszy stłumiony okrzyk.

Gdzieś przeciągle zaskowytał blok, trzasnęły drzwi, zadrgało powietrze od dźwięku, podobnego do strzału, znowu rozległ się ciężki zgrzyt żelaza, dały się słyszeć miarowe ciężkie kroki, raz jeszcze Misza usłyszał surowy okrzyk:

— Baczość!...

I zrobiło się cicho, jakby całe więzienie owinięto miękką, nieprzenikliwą dla dźwięków, ciemną tkaniną...

Misza uczuł, jak coś szarpnęło się w nim, niby raptowny ból zęba, ale wnet zawstydził się tego bólu, wstrząsnął głową, zasunął ręce głęboko w kieszenie spodni i, gwizdząc głośno, zaczął chodzić po celi.

W okienku ukazało się martwe oko i suchym starczym głosem dozorca wymówił spokojnie:

— Gwizdać nie wolno!

— Nie wolno? — zatrzymując się powtórzył Misza.

— No, tak... — powiedział stanowczo dozorca.

— Dobrze... nie będę! — odparł Misza z uśmiechem, wzruszając ramionami.

Przez kilka sekund oko mętnie błyszczało w maleńkim krążku drzwi, potem wolno podniosło się do góry. Za drzwiami rozległy się miękkie, oddalające się kroki...

W sąsiedniej celi skazańców huczał ciemny monotony szum... ktoś zapewne modlił się lub opowiadał bajkę... Misza podszedł do okna, stanął na parapecie i oparłszy czoło

⁴Fedka (ros. Фёдка) — zdrobnienie od imienia Fiodor (Фёдор). [przypis edytorski]

⁵Jakób Ignaca syn Usóf — napis odzwierciedla błędy ortograficzne oryginału: Якоф Игнатив Усоф (zamiast Яков Игнатьевич Усов). [przypis edytorski]

o zimne żelazo kraty, jął uporczywie patrzeć w mrok jesiennej nocy... A mroki tej nocy były tak gęste, iż zdawało się, że jeżeli wysunąć za okno rękę, ręka okryje się czarnym jak sadze osadem... Gdzieś w oddali, migocąc, śmiało gorzał małeńki wesoły ognek i, samotny w okalającym go mroku, był również jak w więzieniu...

III

W nieruchomej ciszy, jakby czatującej na dźwięki i każdej chwili gotowej je wydać, Misza uczuł, że znowu rośnie w nim duma.

...Śród setki ludzi on tylko jeden potrafił znaleźć w sobie męstwo, śmiało wystąpić do walki z przemocą! Przypomniały mu się wilgotne oczy dziewczęcia — gdzie ona teraz?⁶ Zapewne zdążyła ujsć i w tej chwili może, siedząc w swym małeńkim pokoiku, opowiada przyjaciółkom o tym, jak wysoki płowowłosy student, syjąc iskry gniewu z niebieskich oczu, mówił, wzywając do walki z przemocą, i jak jego mowa zapaliła w ludziach żądę walki... I blada twarz dziewczęcia płonie zachwytem...

— Czy ją kiedy spotkam? — zapytał samego siebie Misza, uśmiechając się w zamysleniu. Wysoko na czarnym niebie paliły się migocące, małeńkie, okropnie dalekie gwiazdy — poprzez brudną szybą okna źle było je widać. Misza wyciągnął rękę przez kratę, otworzył lufcik — noc oblała twarz jego strugą zimnego powietrza. Do celi wleciał twardy, spokojny odgłos kroków.

— Warta... więzienie... wcale to nie przykre, ani straszne — pomyślał Misza, wspominając ponure opowiadania o więzieniach i, wstrząsnawszy głową, dodał uśmiechając się wzgardliwie:

— Neurastenicy⁷...

Przyjemnie mu było stwierdzić, że nie czuje ciężaru więzienia; serce biło w nim równo, spokojnie.

— Gdyby wszyscy ludzie wspólnymi siłami, równie śmiało jak ja oto, rzucili się na wszystko, co krępuje ich życie... — gorąco pomyślał młodzieniec, i wydało mu się, że wnet po tym wysiłku życie stałoby się wesołe, piękne i mile spokojne... Później przyszła mu na myśl jego gospodyni — lubiła go za jego prosty, zawsze równy charakter i traktowała go jak syna. Jak się dowie o jego aresztowaniu, na pewno bardzo się zmartwi... Ale, czy się domyśli przysłać mu pościel, bieliznę i obiad? Pieniądze ma zapłacone za miesiąc z góry. I siostra się przestraszy. A mąż jej, jak zwykle, mocno potrze łysinę i, westchnawszy, powie:

— No, cóż? Można się było tego spodziewać...

— Wstrętnym człowiekiem jest ten mąż siostry... A i ona też nie lepsza od niego. Mieszkają w swojej Kałudze⁸, mają trzy tysiące rocznej pensji i niczego więcej nie pragną...

Szybko płynęły czarne postrzępione chmury, gwiazdy chowały się za nie i znów migotały na ciemnogrnatowych skrawkach zimnego nieba. Nie mrużąc oczu, Misza patrzył w górę, i myśli jego, zmieniając jedna drugą, krążyły wolnym korowodem.

— Przyjemnie będzie opowiadać o więzieniu, jak się wydobędzie na wolność... — myślał sobie. — Może spotkam to dziewczę... Znów ukazała się przed nim jej blada twarz, obramowana falą czarnych włosów, z zadumą i gniewem w spojrzeniu. I zapragnął napisać do niej wiersz. Mocno zamknął oczy, zamyślił się i za chwilę szeptał gorączkowo:

— Z nieba przez żelazną kratę
Zaglądają w okna gwiazdy,
Ach! że w Rosji nawet gwiazdy
Patrzą z nieba spoza kraty...

Czterowiersz wydał mu się ładny i dowcipny. Uradowany, zeskoczył z okna i, chodząc po celi, zaczął głośno deklamować, uśmiechając się podniecony:

— Ach, że w Rosji nawet gwiazdy
Spoza kraty patrzą z nieba!

⁶gdzie ona teraz? — ślad rosyjskiej składni, pomijającej orzeczenie; po polsku raczej: gdzie ona teraz jest. [przypis edytorski]

⁷neurastenik — tu: ktoś znerwicowany, reagujący przesadnie. [przypis edytorski]

⁸Kaługa — miasto położone ok. 170 km na południowy zachód od Moskwy. [przypis edytorski]

— Mówić nie wolno! — rozległ się trwożliwy, głośny szept.

Misza przystanął i parę sekund milcząc patrzył w oko dozorca, błyszczące pośrodku drzwi.

— Dlaczego nie wolno? — spytał wreszcie, mimo woli zniżając głos.

— Zakazano! — wyszeptał dozorca. — Niech się pan usatkuje! — dodał również szeptem.

Miszy zdawało się, że teraz oko dozorca patrzy inaczej, jakby ożyło i błyszczy jakimś śmiesznym przestraczem.

— Ależ, dlaczego? — zapytał, podchodząc do drzwi i śmiejąc się z cicha. — Przecież prócz was nikt nie słyszy... a czyż ja wam przeszkadzam?

Nachylił się ku drzwiom i wspólnie z ciepłym oddechem, otarli się o jego twarz dziwne, surowe słowa:

— Czego się pan śmieje, panie studencie? Ech!... przecież pana wsadzono tutaj nie dla śmiechu?

— Ale powiedzcie... — zaczął Misza.

Lecz oko dozorca zniknęło, i znów za drzwiami przyczaiła się cisza. Misza spojrział w otwór i ujrzał w półmroku korytarza ścianę pomalowaną żółtą farbą, na niej zaś ciemną plamę drzwi, okutych grubym żelazem i zamkniętych na wielki zamek, a pośrodku drzwi — okrągły jasny otwór...

— Posłuchajcie! — rzekł młodzieniec — zaczekał i nie otrzymał odpowiedzi. — Co za... dziwak! — pomyślał. I znów uczył w duszy głuchy ból.

— Bacność! — głucho rozległ się za oknem leniwy, szorstki głos. Brzęknął karabin złożony do nogi. Misza znów wskoczył na okno. W mroku wartownik spieszenie i niezbyt głośno mruczał:

— Dwanaście okien... dwie budki...

— Te, Czujesz⁹! — powiedział ktoś ochryple. — Jak zobaczysz, że się łeb z okna wysunie, abo¹⁰ ręka, pamiętaj, nie strzelaj!...

— Wedle rozkazu!

— Właśnie! Bo bęciesz znów, jak niedawno... Bykow, wytłumacz mu to dokładnie... W ciszy każde słowo błyska, jak iskra w mroku.

— Jakbyś zobaczył, że patrzą w okno — nie strzelaj! Rozumiesz? — mówi tęgi bas.

— *Tach toczyno...*¹¹

Dwa słowa wyrzeczone łamanym językiem, dźwięczą bojaźliwie i smutnie.

— No, a jak kto wylezie przez okno, albo polecą, tu, abo tam — widzisz?

— *Tach toczyno...*

— To wołaj zaraz: kto idzie? I raz wołaj, i drugi, a za trzecim — strzelaj, ale tylko w górę, na alarm... I wtenczas do tego, co leci, też strzelaj... abo bij kolbą, abo bagnetem... jak ci dogodniej, rozumiesz?

— *Tach toczyno...*

— No, chodźże teraz stąd dotąd... a patrz w okna... a nie waż się zdrzemnąć!

— Nie...

— Otóż to... bałwanie! A powiedz no — kiedy masz strzelać?

— Jak kark wysunie...

— No, a jeżeli od razu przez mur?

Milczenie. Słychać jak ktoś ciężko dyszy i czyjeś nogi niecierpliwie tupią o wilgotną ziemię.

— No-o, do stu diabłów!...

— To — bić... — rozlega się lękliwy głos.

— A jak — głowa w oknie — to wtedy co?

Znowu milczenie. Brzęka karabin. Ktoś pluje rozjuszony...

⁹ *Czujesz* (ros. *чуваш*) — członek narodu pochodzącego z Kaukazu, z rodziny ludów tureckich (turskich). W pocz. XXI w. naród ten liczy ok. 1,8 mln, a Czujeszja, położona 700 km na wschód od Moskwy, stanowi autonomiczną republikę w obrębie Federacji Rosyjskiej. W Rosji carskiej często zatrudniano przybyszy z dalekich części kraju, słabo mówiących po rosyjsku, w więziennictwie, aby utrudnić więźniom porozumienie się ze strażnikami czy oprawcami i pogłębić ich wyobcowanie; w polskiej kulturze w takiej roli najczęściej przywoływani są Kalmuci. [przypis edytorski]

¹⁰ *abo* (gw.) — albo. [przypis edytorski]

¹¹ *Tach toczyno...* — zniekształcone ros. *так точно, tak toczno*: tak jest. [przypis tłumacza]

— No-o, zakuty łbie!...

Głośno brzmi niecenzuralna obelga i wstrętny dźwięk, jakby ktoś uderzył dłonią w ciasto...

— Wtedy — nic... — jak westchnienie dolatuje ledwo dosłyszalna odpowiedź.

— Łżesz! — ryczy bas. — Wtenczas masz powiedzieć — schowaj głowę... Rozumiesz? Eh, ropusza mordo... Marsz!

...Misza szczerze przyłgął do kraty, usiłując zobaczyć wartownika, który mówił tak smutnie i bojaźliwie. Wąska przestrzeń między ścianą więzienia i wysokim murowanym ogrodzeniem przepelniona była gęstym mrokiem, w niej zaś wolno, prawie bezgłośnie poruszała się niewielka, szara figurka z głową zadartą do góry. Cienkie pasemko bagnetu, błyszczące w ciemnościach, podobne było do ryby w wodzie.

— Schowaj łeb! — zadźwięczał szybki przestraszony okrzyk.

Misza ostrożnie zszedł z okna, rozejrzył się. W celi było duszno... Wpadł mu w oczy cyniczny wymysł, mocno wypisany ołówkiem na szarym tle ściany... Przeczytał i po chwili milczenia powtórzył głośno... Następnie spojrzął na drzwi, legł na prycy i zamknął oczy...

W tej samej chwili we drzwiach mętnie zabłysło rybie oko.

IV

Misza spał twardym snem, wyciągnięty na prycy, i śniło mu się, że leci z trudem wąską, ciemną ulicą, a ktoś niewidzialny goni go, chwyta za ramiona, wykrzykując niezrozumiałe surowe słowa:

— Wstawać! Do kontroli!...

Otworzył oczy, podniósł głowę — obok prycy stał rudy, gruby dozorca i szarpał go za połą kurtki, a wysoki przygarbiony pomocnik naczelnika więzienia patrzył nań ironicznie szarymi oczyma i mówił:

— Proszę wstawać w czas... tu nie w domu u mamusi!...

— Zaraz... — powiedział Misza, uśmiechając się bez urazy, i szybko zeskoczył z prycy.

Pomocnik naczelnika spojrzął nań, odwrócił się do drzwi i łagodniejszym już tonem zauważył:

— Poprosiłbyś pan o papier i napisałbyś do domu... o pościel... i inne rzeczy... — I, nie oglądając się, wyszedł.

Następnie Misza poszedł się myć, na koniec korytarza, gdzie nad szerokim i długim korytem sterczał ze ściany szereg miedzianych kranów, a z nich krągłymi, grubymi strugami lała się zimna woda... Po korytarzu biegali szaro odziani aresztanci z blaszanymi czajnikami w rękach i od czasu do czasu rozlegało się wołanie:

— Po wrzątek... hej!

Dzwoniąc kajdanami, naprzeciw Miszy szedł wysoki, zgrabny więzień z bladą twarzą, okoloną gęstą, blond brodą; spojrzął na studenta, mrugnął nań i, uśmiechając się, rzekł:

— Co, paniczku, nakryli?

Rudy dozorca przyniósł Miszy kubek ciepłej, lekkiej herbaty i duży kawał razowego chleba. Skórka na nim przypominała podeszwę, a kłajstrowaty ośrodek wydzieliał kwaśną woń.

Więzienie huczało, jak poruszone gniazdo os. Rozlegały się śmiechy, wymyślenia, urywane śpiewki, ostre nawoływania dozorców, na korytarzu miękko szeleściły miotły, chlupotała woda, i Misza, pełen ostrej ciekawości ku życiu i ludziom, zamkniętym w tym starym gmachu z kamienia i błota, z natężeniem wsłuchiwał się w zgiełkliwy szum.

Misza mało czytał, a widział jeszcze mniej; przed wstąpieniem do uniwersytetu życie jego upływało monotonicznie w surowym domu siostry i jej męża; czuł się skrępowany pośród studentów, którzy otwarcie i z zapałem mówili mądrym, książkowym językiem o przeróżnych zagadnieniach społecznych. Ogólny prąd niezadowolenia z życia zdążył już otrzeć się o jego duszę, budząc w niej nieokreśloną, lecz zdrową potrzebę protestu, ale nie zdążył jeszcze i nie mógł pojąć, w którą stronę i przeciwko czemu należy zwrócić ów protest. Teraz, czując się bohaterem, z młodzieńczą chciwością wchłaniał w siebie nowe wrażenia, wypełniając nimi ogromną pojemność młodej duszy...

Wypiwszy herbatę, Misza włożył na okno. Po ścieżce wzdłuż wysokiej ściany, okalającej więzienie, chodził szybkim krokiem z rękami założonymi na plecach barczysty, czarny

człowiek w kaszkiecie i krótkiej, grubej marynarce. Chwilami silnym ruchem podnosił głowę i, nie zatrzymując się, szybkim spojrzeniem obrzucał okna. Kilka razy Misza uczuł, że baczne to spojrzenie błyszczących oczu prześlizgnęło się po jego twarzy. Zapragnął powiedzieć coś temu człowiekowi, oznajmić mu swoje nazwisko, spytać, za co siedzi, i gdy człowiek zrównał się z oknem, Misza zawołał z cicha:

— Panie, panie!...

Skądś spod okna wysunął się szyldwach i, grożąc palcem, rzekł surowym głosem:

— Te... nie wolno!

Człowiek w kaszkiecie wzruszył ramionami i, uśmiechnąwszy się do Miszy, poszedł dalej. Misza zeskoczył na podłogę. Szyldwach stropił go, uśmiech zaś człowieka z błyszczącymi oczyma uradował go bardzo; zdało się młodzieńcowi, że ten uśmiech ustalił między nimi miłą równość i sympatię...

Około południa wszedł do celi młody i cienki jak trzcina dozorca o twarzy szpetnie podziurawionej śladami ospy. Stał we drzwiach i, nie patrząc na Miszę, rzekł spokojnie:

— Proszę iść na spacer...

Było nadzwyczaj wilgotno; na więziennym dziedzińcu w dołkach pomiędzy kamieniami lśniła przejrzysta woda; trzech aresztanci chodzili z miotłami po podwórzu i ospale zgarniali ku bramie wodę, ta zaś, już mętna, przesycona błotem, ponownie rozczłgała się wolno między kamienie...

Dozorca poprowadził Miszę za węgiel więzienia i niezbyt głośno powiedział:

— Proszę spacerować tutaj, od rogu do ściany... rozmawiać z aresztantami nie wolno!

Tu, pod błękitnym, bezgranicznie wysokim niebem jakby po raz pierwszy dotknęło serca Miszy słowo „nie wolno”; teraz w tych dźwiękach uczuł coś poniżającego, ordynarnie ograniczonego i tępego; zmarszczył brwi i spojrzał w twarz dozorca, nieruchomą, niby potworna maska, zabawnie obrośniętą kępkami jasnych włosów na kościach policzkowych i na brodzie, i oczy w twarzy tej wydały mu się zbyt czyste, obce. Były to oczy ciemne, owalne, jak oczy pięknej kobiety; lękliwie i miękko przykryte długimi rzęsami, patrzyły dobrotliwie, smutnie, tliło w nich coś trwożnie zadziwionego, stanowiąc tragiczny kontrast z tą zeszpeconą twarzą,

— Niechże pan chodzi! — rzekł dozorca. — Przystawać też nie wolno...

Misza poszedł wolnym krokiem, a dozorca, oglądając się, cokolwiek na uboczu postępował za nim.

— I po co to wciąż robić bunty? — mówił z cicha, patrząc w ziemię. — Uczylbyś się pan... zostałbyś z czasem pomocnikiem prokuratora, ot i koniec! A pan — robi bunty... taki młody, przystojny... pewnie ma pan mamę?..

Ciche jego słowa poruszyły Miszę do głębi; zatrzymał się, roześmiał i, przykładając rękę do piersi, chciał również powiedzieć coś prostego, dobrego... ale dozorca przerażony odsunął się raptownie, obejrzał się naokół i szybko wyszeptał:

— Idźże pan, idźże pan! Zobaczą, ukarzą mnie za rozmowę... i na tym koniec!

Odszedł i skrył się za węgiel więzienia; młodzieniec zaś, pełen zmieszanych uczuć smutku, ciekawości i radości, jął chodzić wolnym krokiem wzdłuż wysokiego więziennego ogrodzenia...

Nad niskim, jakby zapadłym w ziemię brudnoszarym więziennym budynkiem z czterema basztami po rogach niemo rozpostarło się bladoniebieskie wyblakłe niebo, jakby wymyte deszczami jesieni... Było ono puste, smutne, zimne... i brudne ściany więzienia zionęły również smutkiem i chłodem...

— Ile ja czasu tutaj przesiedzę? — pomyślał Misza, oglądając się wokoło. Zdawało mu się, że i teraz już mógłby opowiedzieć o więzieniu sporo ciekawych rzeczy, gdyby go wypuszczono. I znowu w pamięci jego powstała ulica, tłum przygnębionych ludzi, czarne postacie policjantów, dziewczę...

Porwany wspomnieniami nie spostrzegł, jak szybko zleciał czas przeznaczony na spacer i kiedy ospowaty dozorca, podszedłszy do niego, rzekł:

— Proszę do celi...

— Więc już? — zdziwiony zawołał.

Dozorca skinął głową potakująco. Na korytarzu cichym głosem zakomunikował Miszy:

— Moja matka mieszka w przytułku...

Więzienie, Strach

I opuścił głowę jak winowajca.

— Tak!... No, to nie! — rzekł Misza, uśmiechając się, nie znalazłszy słów bardziej odpowiednich. Znow zamknęły się ciężkie drzwi celi, znow ostro i ze złością zazgrzytało żelazo zasuwu i zamku... Misza zatrzymał się pośrodku celi, obejrzał ją, siadł na pryczy, a raptem jakby stopniały wszystkie jego myśli, wszystkie wrażenia, utworzyła się w nim jakaś dziwna pustka i młodzieniec jakby zmarł, pogrążony w zapomnieniu...

I popłynęło życie jego dzień po dniu, monotonicznie prawidłowe, jednakowo szare, ale każdy dzień wlewał w jego duszę niedostrzegalną kropelkę czegoś nowego, a każde nowe, choćby najdrobniejsze wrażenie stawało się jaskrawym na bladym, nikłym tle tego życia.

v

...Kontrola dawno już się skończyła i więzienie śpi ciężkim snem. Chwilami przez otwór we drzwiach dolatują z korytarza dziwne jakiejś głosy... Ktoś szepce we śnie, ktoś zapewne majaczy. Za drzwiami szeleszczą ciche kroki dozorczy — dzisiaj dyżuruje starzec z nieruchomymi oczami. Chodzi wolno po korytarzu i mruczy coś, a Misza leży na pryczy i, uważnie nasłuchując, myśli.

Dzisiaj podczas spaceru ospowaty dozorca dokończył mu opowiadać swoją historię. Jest synem jakiegoś oficera, który uwiódł jego matkę, szwaczkę i porzucił ją, zostawiając jej na pamiątkę swoją fotografię i — dziecko. Młoda kobieta przez czternaście lat wychowywała swego syna i pracowała, wciąż pracowała bez wytchnienia, nie mając w życiu nic więcej prócz dziecka. Oddała go do szkoły parafialnej, następnie do szkoły miejskiej, tam jednak pewnego razu nauczyciel wytargał go za włosy i matka, która nigdy nie powiedziała swemu dziecku nawet cierpkiego słowa, zabrała go z powrotem do domu. Następnie już po dwóch latach znalazła dla niego u sędziego śledczego miejsce pisarza, sama zaś szyła, robiła kwiaty, robiła pończochy, wciąż pracowała i pracowała. Syna zabrano do wojska; wychowany miłością matki i zakochany w niej, pewnego razu, nie mogąc znieść drwin ze swej matki, na które sobie pozwolił podoficer, uderzył starszego podczas musztry. Za to oddano go na trzy lata do karnej kompanii, nie zaliczając mu czasu służby, matka zaś jego, stara już, wciąż pracowała, płacząc nad ciężkim życiem swego syna. Po siedmiu latach żołnierskiej służby, kiedy wrócił do domu z duszą spaczoną, wymęczony, zahukany, znalazł matkę prawie ślepą — nie mogła już pracować, chodziła żebrac do przysionka cerkwi... Ale i wtenczas podarowała mu szalik — ostatnią robotę swych starczych rąk i na wpół ślepych oczu, ostatnie wcielenie swych sił, które bez szemrania mu oddała. Przez parę miesięcy nie mógł znaleźć zajęcia, żył z jałmużny, którą użebrala matka. A potem zupełnie oślepla. Nareszcie znalazł miejsce w więzieniu; ślepą starowinę umieścił ktoś w przytułku i tam robi ona teraz skarpetki dla swego syna...

— Co za kobieta! — myślał Misza. — Ileż pracy i miłości w jej życiu... Ileż prostego, wzruszającego piękna!

Przypomniał sobie wystraszone, zadziwione oczy ospowatego dozorczy, jego głos cichy...

— I co za sens? Jakież sens tej pracy i miłości, jeśli mimo to syn...

— Panie Malinin! — rozległ się głośny szepc.

Misza zeskoczył z pryczy — w okienku drzwi niespokojnie błyskało oko dozorczy.

— Co tam pan mówi? — pytał starzec.

— Ja? Ja nie mówię... — odparł zdziwiony Misza.

— Przecież słyszałem!

— To, pewnie, tylko tak sobie...

— Właśnie... Niech się pan wystrzeżga...

Oko dozorczy na chwilę znikło, potem znow zjawiło się i starzec zaczął mówić uprzedzającym szepcetem:

— Tak samo wciąż rozmawiał ze sobą... jeden tutaj... prawdę powiedziawszy, nawet mój siostrzeniec...

— No i co? — szybko zapytał Misza.

— No i odwieźli go do domu wariatów...

— Pański siostrzeniec?

— Tak, tak — szepcwał starzec i oko jego dziwnie skakało, zapewne dozorca potakująco kiwał głową.

— I tutaj siedział? — łagodnie zapytał Misza.
— Pod dziesiątym numerem...
— I pan go... pan też był tutaj? — urywając zapytał Misza, czując jak mu się nieprzyjemnie i zimno zaciska serce.

— Ja jestem tutaj siedemnaście lat — spokojnie odparł starzec i dodał: — teraz idzie osiemnasty rok...

Misza patrzył na matowe oko starca, na jego długi nos z chrząstkami i chciał go zapytać:

— Czy i swego siostrzeńca tak samo pan pilnował, jak oto mnie?

Lecz, bojąc się obrazić starca, nie zapytał go o to, rzekł tylko:

— To pan już dawno...

— Poczekaj pan, przyniosę sobie stół — mrugnawszy wyszeptał starzec — bo trudno mi się schylać... krzyż boli!

I odszedł. Misza stał przed drzwiami, słysząc szuranie jego nóg, i myślał:

— Jeśli człowiek ma duszę, to ten musi mieć taką ciemną, pomarszczoną i suchą, jak jego twarz...

Starzec wrócił, bez hałasu przystawił krzesło do drzwi i znów w krągłym otworze zjawilo się jego oko i, wysoko nad nim podniesiona, krzaczasta, siwa brew.

— Tak mi będzie wygodniej — zaczął mówić. — Sypiać nie mogę, kościska mnie bolą... I pan nie śpi... więc porozmawiamy... W nocy można... w dzień — nie wolno, a w nocy — któż się dowie? W dzień udaję, że jestem surowy dla pana... nie można inaczej, władza tego wymaga! A w nocy i z panem można pomówić... I do tego jeszcze, co z pana za przestępca? Nie zabił pan, nie okradł... He, he! Taki pan rumiany, młodziutki... żal mi pana... Śmieje się pan, cieszy, jakby pan dostał jaką rangę... oj, młodość! Ukorzyłybys się pan lepiej przed władzą...

Miszy zaczęło być przykro słuchać go dalej. Nerwowo nachylił się ku drzwiom i zapytał starca:

— Czym się trudnił pański siostrzeniec?

Znów rozległ się w celi suchy, bezbarwny głos:

— Ślusarz... zastrzelili inżyniera... O nim nawet pisano w gazetach... a jakże. Sam mi czytał gazetę... przypadkiem jakoś się znalazła i akurat wydrukowano tam o nim... Czytał — i śmiał się... jak pan oto... twardy chłopak był... A matka jego, moja siostra, płakała, płakała... Ale łzami krwi się nie zmyje... Czasami, bywało, mówię mu — no, cóż, Fedorze, jakże tam, to więzienie? A on tylko parsknie... Z początku — milczał wciąż, zły był. A potem zaczął gadać... no i dogadał się... Tak samo jak pan...

— Cóż on mówił? — cicho zapytał Misza.

— Tak, różne rzeczy... kto go tam wie? Czy pan nie pochodzi z Kaługi?

— Tak...

— Właśnie... znajome nazwisko. Naczelnik poczty w Kałudze był Malinin...

— To mój ojciec...

— No, no... przecież i ja z Kaługi... tak! A ojciec umarł?

— Umarł...

— Ta-ak... umrzemy wszyscy!

Mówili obaj szeptem, głosy ich szeleściły w ciszy, jak suche jesienne liście. Za oknem, jakby znacząc odchodzące chwile, głucho tupotały po ziemi miarowe kroki szyl-dwacha. I skądś z daleka poprzez wilgotny mrok nocy, dolatywały ledwie dosłyszalne dźwięki dzwonu, wybijającego godziny.

— Nudzi się wam tutaj? — zapytał Misza.

— Starym wszędzie nudno... — odpowiedział mu zza drzwi chłodny, równy szept.

— A... szkoda panu było siostrzeńca... jak tutaj siedział?

— Cóż go tam żałować, jeśli zabił człowieka... Siostry szkoda... A kto człowieka zabił...

Starzec zamilkł nagle i twarz jego znikła, jakby spadła na dół. Misza patrzył w okienko i czekał.

— Po co lęsz? — rozległo się za drzwiami spokojne, ciche pytanie.

— Co pan mówi? — zapytał Misza, nachylając się do otworu we drzwiach.

Dusza

Twarz starca zrównała się z jego twarzą i, wolno poruszając cienkimi wargami wielkich ust, okolonych kępami siwych włosów, starzec kiwając głową i, niby się uśmiechając, rzekł:

— Zegąłem... szkoda mi Fedki... też młody był, dobry chłopak...

Wtem, targnąwszy ciszą, niby wiatr ciemną wodę drzemiącego stawu, przebiegło korytarz wstrząsające wycie:

— Nie bijcie... bracia mili... zmiłujcie się!

— Co to takiego? Co to? — drgnąwszy, zawołał Misza.

— Tss! — zasyczał starzec — Nic... To we śnie... oni często krzyczą... Każdy przecie ma sumienie... No, ale niech pan śpi... Kładź się pan... Dobranoc... Dwunasta już była...

Wstał i odszedł, i nogi jego szurgwały tak, jakby ktoś ciągnął po podłodze coś dużego, miękkiego i bardzo ciężkiego.

Misza podszedł do pryczy, legł i wlepił smutne oczy w brudne murowane sklepienie, zwisające milcząco nad jego głową.

I bezsenna noc, pełna dum, otoczyła go ciszą...

VI

Misza jakby odsunął się gdzieś na bok od swej drobnej przeszłości, i z przeszłości tej najjaśkrawszy wypadek — jego „czyn” nie tak już często przychodził mu na myśl. W dziwnym życiu więzienia, zazdrośnie ogrodzony ze wszystkich stron murem, odczuwał on niewyraźny symbol, odległe napomknienie na coś niedostępnego jeszcze dotychczas dla jego świadomości. Uważnie przypatrywał się wszystkiemu, co go otaczało, uśmiechając się chwilami z roztargnieniem i niedowierzaniem, chwilami zaś — z chciwym i upartym zajęciem, ze smutkiem i ciężką niepewnością w duszy.

Władze więzienne traktowały go zawsze z pobłażliwym uśmiechem — zapewne wszystkich mimo woli usposabiała do Miszy jego otwarta, okrągła twarz i zdrowy rumieniec lic, błękitne naiwne oczy, łagodny uśmiech silnych pąsowych ust, piękny głos piersiowy i mocna, cokolwiek niezgrabna postawa.

— No, panie Malinin, jakże się panu u nas podoba? — z ironią zapytał pewnego razu starszy pomocnik naczelnika podczas kontroli.

— Ciekawe, wie pan! — odparł z uśmiechem Misza.

Ów roześmiał się chmurnie, następnie pocięta głębokimi zmarszczkami skóra czoła nasunęła mu się na oczy i rzekł:

— Ej panie... skromny badacz! Ma pan spacer przedłużony o pół godziny... i inne ulgi...

— Dziękuję! — rzekł Misza.

— Nie ma za co! — oziębło odparł naczelnik, wychodząc z celi.

Ospowaty dozorca, Aleksander Oficerow, opowiedział Miszy o tym człowieku następującą historię. Pewnego razu, podejrzewając swoją pokojówkę o kradzież pierścionka żony i chcąc zmusić ją do przyznania się, cały dzień i noc nękał dziewczynę. Zawołał dwóch areztantów, którzy go czymś rozgniewali, kazał im rozebrać pokojówkę i przywiązawszy naga do stołu, zmusił areztantów, by ją łechtali. Kiedy dziewczyna traciła przytomność, kazał dawać jej wodę i męczyć w dalszym ciągu. Zakończyło się to w ten sposób, że jeden z areztantów nie zniósł tortury, dostał pomieszania zmysłów i, w dzikim szale zgłodniałej chuci, chciał na miejscu wobec naczelnika i towarzysza zgwałcić dziewczynę. Zbito go, posadzono do karceru, a gdy znikły ślady razów — odesłano go do szpitala dla umysłowo chorych.

— Ot i koniec! — po cichu dodał Oficerow, skończywszy opowiadanie i, chowając pod rzęsy swe lękliwe oczy, bojaźliwie obejrzał się wokoło.

Słuchając tego opowiadania, Misza czuł odrazę do dręczyciela, lecz gdy tegoż dnia ujrzał go w swej celi, ze zdziwieniem zauważył, że w duszy swej nie odnajduje dlań innych uczuć prócz ostrej ciekawości i lekkiej pogardy...

Przez okno Misza zobaczył, że prócz czarnego człowieka w grubej marynarce wychodzi jeszcze na spacer ze sześciu politycznych. Prawdopodobnie byli to robotnicy — barczyści, silni, źle odziani — patrzyli na wszystko groźnie, spode łba.

Kiedy oczy ich zatrzymywały się na twarzy Miszy, nie wiadomo z jakiej przyczyny czuł się on pod tym spojrzeniem nieswój i chciał zeskoczyć z okna. Na mizernych, głod-

nich twarzach tych ludzi, rzekłbyś, wyciśnięte było znamię twardej nieugiętości i czegoś, co przypominało zaszczute wilki. Niektórzy z nich chwilami uśmiechali się doń, czynili jakoweś znaki. Misza również odpowiadał im uśmiechem i gestem. Ludzie ci interesowali go niezmiernie, miał dla nich wielki szacunek i uważał, że i przestępcy kryminalni przypatrują się im z tym samym zainteresowaniem. Niekiedy, korzystając z nieuwagi szyldwacha, szare postacie skazańców podbiegały ku przestępcom politycznym, prosząc o papierosa lub zawiązując z nimi szybką, cichą rozmowę.

A razu pewnego rozegrała się scena następująca: wysoki i szczupły, posępny robotnik o długiej, chudej twarzy z małą ostrą bródką, przeszedłszy parę razy po ścieżce wzdłuż muru, zatrzymał się, założył w tył ręce i podniósłszy głowę do góry, nieruchomo zastygł, patrząc w niebo. W kącie obok budki szyldwacha z miotłą i łopatą laził jakiś więzień, kształtny niemłody człowiek z wielkimi rudymi wąsami na bladej twarzy i — ślepy na jedno oko. Ten spojrzął okrągłym jasnym okiem na człowieka, który nieruchomo przylgnął do muru, spojrzął raz i drugi... a potem, leniwie zmiatając ze ścieżki jesienne liście, zaczął wolno zbliżać się doń i nagle z cicha, pięknie i tęsknie zaśpiewał łagodnym głosem:

Na starym kurhanie, na stepie szerokim
Siedzi jasny sokół przykuty łańcuchem...

Robotnik wolno schylił głowę i, przechyliwszy ją na bok, zaczął słuchać. Wargi miał na wpół otwarte — jakby w upalny dzień zobaczył nagle zimną i świeżą wodę, a bardzo był spragniony. Jednooki, nie patrząc nań, zrównał się z nim i śpiewał:

A woli wciąż nie ma... — i nie ma!...

Wargi robotnika wyszeptaly coś bezdźwięcznie... Jednooki spojrzął mu w twarz i milcząc uśmiechnął się.

Miszę zalechtało coś w gardle, zeskoczył z okna i gorączkowo zaczął chodzić po celi. Przez lufcik wolno płynęła smętna pieśń:

I lecą w błękitach obłoki...
A step jest — szeroki... szeroki...

...Czasami po obiedzie kryminalni aresztanci, siedząc w jadalni pod celą Miszy, zaczęli śpiewać i przez podłogę napełniały celę głuche, matowe dźwięki. W gęstej ich fali Misza nie mógł uchwycić słów i raz tylko rozpoznał, jak ktoś wysokim, tęskliwym tenorem śpiewał i żalił się:

Morze sine,
Morze chmurne...
Wiatr wyjący,
Niepomyślny...

Częściej jednak aresztanci śpiewali jakieś wesole, hulaszczcze pieśni z pogwizdywaniem, z hukaniem; pieśni te zalewały mury więzienia zuchwałymi dźwiękami, pełnymi jakiejś junackiej siły. Wtedy Miszy zdawało się, że więzienie trzęsie się gniewnie, że na kamieniach jego ścian tworzą się nowe rysy i ciężka złość trwożnie i niewidzialnie leje się z nich na ludzi... Zewsząd biegli dozorczy i szybko gasili taki wybuch wesela, zrodzonego tęsknotą... Misza widział, że dozorczy postępują ze skazańcami niejednakowo; pogardzali ludźmi słabymi, łatwo dającymi się ujarzmić, ludzi zaś śmiałych, takich, którzy potrafili obronić od napaści swą ludzką godność — prawie wszystkie władze więzienne traktowały z ostrożnością, czasami nawet przyjaźnią, rzadko tylko pozwalając sobie wrogo i otwarcie wykazywać nad nimi swą władzę. A na „polityków” dozorczy patrzeli — tak przynajmniej zdawało się Miszy — z przyczajoną, skrytą ciekawością, w której czuć było niedowierzanie, znużone oczekiwanie czegoś osobliwego, niezwykłego...

Pewnego razu Oficerów, prowadząc Miszę na spacer, szepnął doń:

- W nocy przyprowadzili jeszcze trzech waszych...
- Studentów?
- Robotników...
- Powiedźcie, Oficerow, czy wy wiecie, za co ich sadzają do więzienia? — zapytał

Buntownik

Misza.

Dozorca chwilę pomyślał, obejrzał się i, szeroko rozwarłszy oczy, rzekł, ciężko wzdychając:

- Każdy chce żyć według siebie — i stąd swary!
- Ale, po chwili milczenia dodał:
- Nie zgadzają się.
- Z czym się nie zgadzają?
- W ogóle, nie zgadzają się z niczym!

VII

Prawie co noc, kiedy przypadał mu dyżur, stary dozorca — zwano go Korniej Daniłowicz — podchodził ku drzwiom celi i, wsadzając swoją ciemną twarz w okrągłą ramę okienka, zaczynał z gadatliwością starca opowiadać Miszy jakieś historie bez związku. Korniej dużo widział, wiele przeżył, ale wszystkie wrażenia życiowe poplątały mu się w pamięci w olbrzymi kłębek ciężkich nieszczęść, bezmyślnej pracy, poniżeń i jakichś postępków, z których sobie nie zdawał sprawy. Czasami postęпки te wydawały się Miszy dobrymi, wzruszały go, częściej zaś — były one głupie i złe, a zawsze niewytłumaczone, przypadkowe, jakby człowiek ten nie czynił ich dobrowolnie, ale spełniał tylko zawsze bez szemrania i bez zastanowienia rozkazy jakiejś niezrozumiałej dla niego, na zewnątrz nim kierującej woli...

— Było to temu może z piętnaście lat — szeptał Korniej Daniłowicz, nieruchomo utkwivszy swoje rybie oko w twarz Miszy — widzę — zaczął mi się coś zamyślać... niby mój syn, Aleksy, tak... Do cerkwi nie chodzi, do szynków — nie chodzi... Kiepsko! Zacząłem go śledzić — a on sztundą¹² zawrócił sobie głowę... ta-ak... Zwymyślałem go na początek — słuchaj, mówię, ja cię nauczę! Nie przestaje... poskarżyłem się na niego duchownemu... no, wrócił od niego... uważam — zły taki... Śmieję się do niego — mówię: co, dał ci ojciec duchowny naukę? Wtedy, odpuść mu Panie, jak ci nie zacznie kłąć, i kogo — ojca duchownego... Ja mówię — ach, ty taki, owaki! Jak śmiesz? A on i mnie skłął... No-o, złość mnie wzięła, i garnkiem z kaszą w mordę go... taak! Rozwaliłem mu głowę... dopiero... Wziął i poszedł... odtąd już o nim ni słuchu, ni ducha... nie ma i nie ma... Tacyście to krnąbni, wy młodzi... ta-ak!

— A żal wam go teraz? — zapytał cicho Misza.

Starzec odpowiedział nierychło. Pomilczał, stęknął, parę sekund mamrotał coś pod nosem, i dopiero wtedy spokojnie powiedział:

— Czasami to i żal... Wszystkich żal.. Czasami bywa, że i morderców szkoda... ta-ak! Nie każdy przecież za byle co zabija... czasami jest za co... Niektórym zabójcom może nawet trzeba dziękować.. Kat, na przykład... Taki przecież nie tak sobie, a dla ogólnego dobra zabija... Złoczyńcę zabić — nie grzech, myślę... a pan sądzi, katu przyjemnie?

Misza schylił się szybko do otworu we drzwiach, chciał zobaczyć wyraz, jaki ma w tej chwili twarz tego, który nie wiadomo po co odtrącił od siebie rodzzonego syna i zdolny jest litować się nad katem? Ale twarz, jak zwykle, podobna była do kamienia, pokrytego szczelinami, i oczy błyszczały w niej, niby dwa kawałki mętnego szkła...

— Czego się pan patrzy? — zapytał starzec.

— Tak... nic... — odrzekł z cicha Misza. — Powiedźcie, Kornieju Daniłowiczu... dlaczego wam się nie podobało, że syn poznał się ze sztundystami?

— Mówiono o niej, że jest szkodliwa... niby sztunda... Jednakże, trzy lata temu siedziało ich tutaj czterech... nie mogą powiedzieć, stateczni chłopci! Piśmienni wszyscy, spokojni... dobrze byli u nas widziani! Nie mogą nic powiedzieć, porządni byli aresztan-

¹²sztunda (ros. *утында*, z niem. *die Stunde*: godzina) — nurt religijny w XIX-wiecznej Rosji, powstały wśród protestanckich kolonistów niemieckich, kwestionujący autorytet cerkwi prawosławnej; pod koniec XIX w. tępony przez władze carskie. [przypis edytorski]

ci... Pytałem się ich o Aleksego — nie wiemy, powiedzieli. Nas, mówią, wielu.¹³ Może i prawda — często oni tu siadują...

Zamilkł, a po chwili mówił dalej:

— Teraz przestępców coraz to więcej... Przedtem byli tylko złodzieje, rozbójnicy... a teraz ot zaczęli się studenci, robotnicy, polityczni, sztunda i różni inni... Na gorsze idzie...

— Otóż właśnie przeciwnie! — gorąco i pośpiesznie począł mówić Misza. — To wskutek nierozumienia... ludzie chcą poprawić życie, zrobić je lepszym dla wszystkich...

Spoza drzwi rozległ się niegłośny, suchy śmiech, potem zaś starzec, pokaszując rzekł:

— Słyszałem... tak! Wielu waszych tak mówiło...

Wstał i odszedł ode drzwi, jakby niezadowolony i zagniewany.

Pewnego zaś razu opowiedział taką historię.

— Ja przecież jestem bardzo litościwy... sam wiele się nacierpiałem i mogę ludzi pojąć, tak! Siedział w moim korytarzu zbiegły katorżnik, chłopak zdrów, przystojny, miły w obejściu... Chłopem był, a uśmiechał się jak wielki pan... czasami uśmiechnie się, i nic mu nie można odmówić. Powie: Daniłycz! postaraj no się tytońku — i miał tytoń... No i otóż... wykradł sobie gdzieś nóż, zrobił z niego piłkę, postarał się o sadło — i dalej obrabiać kratę u okna... A ja to zaraz spostrzegłem, i tak mi się go żal zrobiło! Eh, myślę, bracie, nie uda ci się! Jednak nie przeszkadzam mu, niech się cieszy, myślę, w każdym razie chłopu nie będzie tak nudno... Długo się mozolił — może ze trzy tygodnie, a ja wciąż śledzę i wciąż mi go żal... pocieszaj się, myślę...

Korniej Daniłycz roześmiał się łagodnie i cicho.

— No, ale jak doprowadził swoją robotę do końca, to już wtedy doniosłem naczelnikowi...

— Po cóż? — z żalością w głosie zawołał Misza. — Po co naczelnikowi?

— Jakże to? — zapytał starzec

— Przecież moglibyście powiedzieć jemu, więźniowi.

— Też dziwak z pana — zaśmiał się Korniej. — Cóż w takim razie zrobić z kratą? Przecież przepiłowana.

— Ależ można było powiedzieć zaraz, jak tylko zaczął piłować!

— Ta-ak... czyżby? Można było i tak... to racja... No, ale tak jak ja zrobiłem, lepiej, bądź co bądź, zawsze się człowiek zajął...

— Ale go przecież za to ukarano?

— No, a jakże? Inaczej niepodobna... ukarali...

— I bardzo?

— Nie pamiętam... miesiąc w karczerze siedział, jednak... potem, zdaje mi się, na sądzie jeszcze mu coś dodali, nie pamiętam...

— Co za głupota! — niegłośnie, ale z oburzeniem wykrzyknął Misza. — Jacy spaczeni ludzie... i życie... całe życie!

Ciemna twarz starca dziwnie zakolysała się w oknie i, westchnąwszy, czy też poziewając, z wolna wymówił:

— Tak... to racja... życie nie do poprawienia!

Na takich rozmowach starzec i młodzieniec spędzali długie godziny, jeden obojętny i zimny, drugi pełen bezsilnego oburzenia, żalostnego podziwu. Oddzielały ich stare, mocne drzwi, okute żelazem, zjedzonym rdzą, i przez maleńki otwór ich, bezsenny i gadatliwy mieszkaniiec więzienia zasypywał duszę młodzieńca posępnym gruzem swych wspomnień. Misza zaczynał czuć wewnątrz siebie narodziny czegoś przygniatającego i ciemnego. Rozumiał jednak, że nie więzienie — ten stary murowany i niezgrabny gmach — przytłacza go, ale to wszystko, co widział i słyszał w nim, układa mu się w piersiach jak cegły, i buduje wokół duszy nudne, ciasne, mroczne ściany...

Podczas bezsennych nocy, leżąc na tapczanie, jakby przyciśnięty do niego murowanym sklepieniem, usiłował zorientować się w chaosie tych wrażeń, chciał wycisnąć z nich jednolitą zwartą bryłę i nie mógł...

Jakoś pewnego razu zapytał Oficerowa:

¹³Nas, mówią, wielu. — ślad rosyjskiej składni, pomijającej orzeczenie; po polsku raczej: *Nas, mówią, jest wielu*. lub: *Mówią, że jest ich dużo*. [przypis edytorski]

— Posłuchajcie, czy dobrze wam tu jest?
— Żeby się nie bili, jeszcze niczego... — odparł ospowaty swoim miękkim, cichym głosem.

— Was biją? Kto?

— Mnie rzadko biją... tylko czasami starszy pomocnik naczelnika da po zębach... Ja mówię ogólnie... o wszystkich... Aresztanci biją się... tak, jedni drugich biją — to okropne! I dozorczy biją ich... ale nie wszystkich... nie każdego przecie można uderzyć! Ale — tych, co można — to już bez litości!

Bojaźliwie wstrząsnął ramionami, obejrzał się i, rozwarłszy szeroko piękne, pełne przerażenia oczy, mówił dalej:

— A ja — nie mogę, kiedy biją... boję się! Nie mogę patrzeć na to... kiedy biją!

— Znaleźlibyście sobie jakie inne miejsce — poradził mu Misza...

— Gdzież? — rzekł Oficerow, smutnie spuściwszy oczy. — Przecież wszędzie się biją... całe życie walka, ja wiem... Tylko ot moja matka... w klasztorach, być może, nie ma tego... I ja bez wątpienia poszedłbym do klasztoru... ale...

Oficerow nagle zamilkł. Stali za węglem więziennej baszty, obok kupy śmieci, żwiru i jakichś ułamków drzewa.

Ponad nimi wolno i poważnie przewalały się czarne chmury, dał wiatr i przynosił skądś z miasta rozbite, nieharmonijne dźwięki.

— Co — ale? — zapytał Misza.

— Pan mi wybaczy — trwożliwym szeptem zaczął mówić Oficerow, co chwila mrugając oczami, jakby widział przed sobą oślepiające światło — wybaczy pan — może to — moja wielka głupota — ot i koniec...

— O cóż chodzi? — zniżając głos, szybko zapytał wzruszony młodzieniec.

Oficerow przysunął się doń i drżącym głosem wymówił:

— To — co się tyczy Boga... Czy — pan wierzy?

Misza opuścił głowę i po chwili odrzekł z cicha:

— N-nie wiem...

— I ja też nie wiem! — śpiesznie poparł go więzienny dozorca.

— Bardzo o Nim myślę... bo przecież, jeżeli On rzeczywiście... to po cóż wszędzie takie okropności?... I okrucieństwa? Pan — człowiek uczony... po cóż więc okropności i okrucieństwa?

W oczach jego zjawiły się duże mętne łzy, otrząsnął je ruchem głowy i pośpiesznie, nie oglądając się, odszedł.

VIII¹⁴

A po ścieżce koło okna Miszy codziennie w skupieniu chodzili wciąż tam i z powrotem, jak zwierzęta w klatce, samotni, posępni, źle ubrani ludzie z wyglodniałymi twarzami i wielce zadumanymi oczyma. Człowiek w marynarce znikł już, obecnie miejsce jego zajął jakiś chudziutki jegomość w okrągłej barankowej czapce i starym sukiennym paltocie rudej barwy. Chodził zawsze bardzo prędko drobnym krokiem, prawie biegł; palto miał śmiesznie luźne, zlatujące z ramion; nieustannie wstrząsał swym drobnym ciałem, usiłując zatrzymać palto na sobie; jego maleńka, rozumna twarz jaśniała uśmiechem, wargi drgały mu bez ustanku, szarpał co chwila cienką i suchą ręką rozwichrzoną, czarną siwiejącą bródkę, kiwał głową... I na tle szarej więziennej ściany, nie wiadomo czemu, człowiek ów przypominał Miszy jasno i wesoło płonąca świecę w dużej, nieprzejrzystej i brudnej latarni...

— Kto to jest, czy nowy? — spytał Misza Kornieja.

— Wasyl Nikitycz...

— Robotnik?

— Kto go tam wie? — spokojnie odpowiedział starzec. — Zdaje się, jakby robotnik... jednak też coś w rodzaju politycznego... a co najważniejsza, błogosławiony... On tu często bywa...

— Bywa! — powtórzył Misza, uśmiechając się. Podobało mu się, że o tym człowieku mówią — „bywa” w więzieniu, a nie „siedzi”.

¹⁴VIII — ten rozdział nie figuruje w późniejszych wydaniach rosyjskich. [przypis edytorski]

— To człowiek nieustraszony! — mówił do Miszy Oficerow, jak zwykle ostrożnie się oglądając i zniżając głos do szeptu. — Każdemu potrafi prawdę powiedzieć, prokuratorowi, naczelnikowi... Przyjechał wicegubernator, to i jemu zasolił. Ja, powiada, myślę tak, a pan inaczej... ale, mówi, powinniśmy szanować jeden drugiego, dlatego, że ja jestem człowiekiem i pan człowiek... a poza tym wszystko inne — błąd... I mundur, powiada, nic nie znaczy. Wsadzili go za to na tydzień do karceru. A on roześmiał się i powiada: to już zupełnie nic nie znaczy... wprost — głupota! Czegoż, powiada, dowodzi karcer...

Oficerow wyprostował się nagle i w oczach jego Misza po raz pierwszy ujrzał jakiś nowy blask, niby blask radości.

— I — racja! Bo jeśli ja panu mówię prawdę, a pan mnie za to w pysk... czyż przez to prawda stanie po pańskiej stronie?

— Rozmawialiście z nim? — spytał Misza.

— Nie... co też pan! — odskoczył z przestrachem dozorca. — Ja się boję! Ja — tylko z panem... Pan mówi cicho... a on wcale po cichu nie może mówić... taki już ma głos!

I, uśmiechnąwszy się wstydliwie, wyszeptał:

— Mam jedne wiersze... bardzo pasują do niego!

— Jakże? powiedzcie! — poprosił Misza. Oficerow obejrzał się, zakrył oczy rękami i westchnąwszy rzekł:

— Później... może jakoś... Niech pan spaceruje... odejdę... żeby przypadkiem nie zobaczyli...

— Posłuchajcie, Oficerow — począł mówić podrażniony Misza, przytrzymując go za rękaw munduru — powinniście, powinniście koniecznie stąd odejść! No, co z was za dozorca? Masz pan taką wylekłą duszę...

— Ach... ale gdzież ja pójdę? — cicho zawołał dozorca, pośpiesznie wyrwawszy rękaw z uścisku Miszy. — Wszystko jedno... wszędzie to samo... dla spokojnego człowieka, całe życie — więzienie... jedno tylko pozostaje — mogiła!

Nisko opuścił głowę i odszedł, a Misza, czując nad nim litość, a zarazem zirytowany, chodził wzdłuż więziennego muru i myślał ze złością:

— No, i co za sens ma życie człowieka... jakież sens?

Na mokry dach więzienia i na zabloconą ziemię smutnie i ospale leciały drobne płateczki śniegu, padały w błoto i nieznacznie znikwały.

Za rogiem więziennej ściany Misza dostrzegł szarą, zwartą grupę aresztantów, jeden z nich stał, cisnąc się do ściany; skurczył się i jak zaszczuty pies bez ustanku kręcił szyją. Głowa jego zabawnie trzęsła się, ręce miał szczelnie przyciśnięte do piersi i na pół ochrypłym głosem mamrotał:

— Braciszkanie... to nie ja! na rany boskie — nie ja!

Przed nim bez ruchu, jak wielkie kamienie, stali trzej towarzysze i jeden z nich, wysoki, również niegłośno i spokojnie mówił:

— Nie straszcie go, chłopcy... nie bijcie go!

I raptem odstaąpił na krok w tył, zamierzył się nogą i z całej siły kopnął stojącego pod ścianą w dolną część brzucha, nie przestając spokojnie jak i przedtem perswadować towarzyszowi:

— Nie bijcie go... po co? No, po co to?

Aresztant głucho jęknął i jak worek padł na ziemię, trzej zaś towarzysze, nie spiesząc się, milcząc jęli go kopać wszyscy razem, wysoko zadzierając nogi, jakby wyrabiali kupę głębokiego błota... I głuche uderzenia obcasów w miękkie ciało pochłaniały spokojny głos wysokiego aresztanta, który przy każdym uderzeniu swej długiej nogi, dodawał miarowym głosem:

— Nie bijcie go!... dość... nie bijcie!... R-raz!

Gniew, przestrach, wstręt napęliły duszę Miszy; miał uczucie, jakby się raptownie zachłynał dymem, coś gorącego i ciemnego rzuciło mu się do głowy, osłepiło oczy i ciężko dysząc, bez krzyku pobiegł naprzód...

Ale trzej aresztanci odeszli już na bok i wysoki mówił:

— No, Paszka, dość babrać się w błocie... no!

U nóg Miszy, podnosząc się z ziemi, kurczyło się niewielkie, pomięte, uwalane w błocie ciało; słyszał ochryply szlochający głos:

— To nic... ja — odpłacę... dobrze!

Rozpacz

— Niegodziwi! — krzyknął Misza, zwracając się ku aresztantom.

Wysoki uśmiechnął się, milcząco wyciągnął rękę i pokazał mu figę...

— To nic! — ochryple mamrotał pobity. Drżącymi rękoma nasuwał czapkę na głowę, śniał się jak pijany, kaszłał i pluł krwią. Twarz miał boleśnie wykrzywioną, ruda broda i wąsy trzęsły się, otwarte¹⁵ usta na bladej twarzy łapczywie oddychały na podobieństwo głębokiej krwawiącej rany. A w niebieskich oczach żarzyło się zimne, bezlitosne okrucieństwo... Misza pomógł mu powstać z ziemi, wyjął chustkę z kieszeni... Lecz w tej chwili powoli zbliżył się wartownik i począł mu robić wymówki:

— Znowu pan podchodzi, panie! Ile razy...

— Przed chwilą tutaj go zbili! — drżąc na całym ciele rzekł Misza.

— Mówione było panu — żeby nie podchodzić...

— Chciejcież zrozumieć! — oni go bili! — przekonywająco powtórzył Misza.

— To nie pana rzecz — mówił szyldwach. — Nie pan przecie jesteś tutaj naczelnikiem... więc niech sobie pan chodź w przeznaczonym miejscu... A jeśli jeszcze będzie pan podchodził do ludzi... to ja o tym powiem i pozbawię pana spaceru...

— Jakże oni go bili! — zawołał Misza przerażony, zamknąwszy oczy...

— No, to cóż? To już ich rzecz... taki, co bije, to już swoje dostanie... a pan się nie ma czego bać... jeśli pan nie będzie podchodził... — gderliwie i uparcie powtarzał szyldwach.

Misza szybko odwrócił się — twarz żołnierza była zmęczona, w wypłowiłych oczach nieruchomo zastygła szara nuda...

— A żołnierz później ma za was odpowiadać — mówił, leniwie poruszając wargami...

Misza poszedł do celi, zanim upłynął termin spaceru. Kiedy w towarzystwie Oficerowa wszedł na korytarz, ktoś z mroku zawołał na nich:

— Nazad! zaczekaj przy ganku...

— Co to takiego? — zapytał Misza dozorca, wychodząc z powrotem na dziedziniec.

— Przenoszą do pana sąsiada...

— Kogo?

— Nie wiem...

Z więzienia wyszedł starszy pomocnik naczelnika, z ukosa, posępnie spojrzał w twarz Miszy, krótko zakomenderował Oficerowowi:

— Prowadź!

I raptem nieludzkim głosem zawołał:

— A jak na tobie leworwer wisi? Ciapo... popraw... sukinsynie!

IX

Misza gorączkowo chodził po celi, a w okružającym go półmroku, wlewając się wąską strugą przez lufcik, dźwięczała cicha, żalosna pieśń — brzydka, podobna do dalekiego wycia zgłodniałego wilka:

A-a-a! O-o-oj! e-oj...

I wszystko, co Misza przeżył w ostatnich czasach, wstawało jedno po drugim w jego pamięci, jakby wskrzeszone tym monotonnym jękiem, wytrwale i uparcie, niby żądając odeń wytłumaczenia.

„Czyn” jego wydał mu się teraz czymś bladym, mało zrozumiałym, jak stary obraz pokryty pyłem i kopciem, a sam sobie wydawał się śmiesznym studentem, niedorzecznie wymachującym rękoma pośród tłumu ludzi, ludzi zmieszanych własną niemocą i zawstydzonych łatwością, z jaką ich pokonała tępa, mechaniczna, ale zorganizowana siła. Zmęczone, złe, obojętne twarze policjantów, pogardliwy wyraz twarzy oficera, do którego Misza wykrzyczał swoją mowę, rewirowy z chorym zębem — wszystko to wypływało w pamięci młodzieńca jak zimna bezsensowna plama, jak zmora, uciskająca jego mózg...

Wstydzili się zapewne naszej niemocy... — myślał Misza i za chwilę już rozumiał, że ci posępni, wąsaci żołnierze, nauczeni i przyzwyczajeni do traktowania ludzi jak bydło, nie mogą się niczego wstydzić i nic więcej czuć nie potrafią, prócz bólu fizycznego i strachu przed siłą, która ich ujarzmiła i porusza nimi dowolnie. Przypomniał mu się woźnica —

Strach, Władza, Pozycja społeczna, Przemoc

¹⁵otwarte — odczytanie niepepne, w źródle omyłkowo: trzęsły się or i- zwarte usta. [przypis edytorski]

jak trwożnie zaszarpał lejcami, kiedy nań krzyknął rewirowy. Zadźwięczał obojętny głos człowieka u bramy cyrkułu, człowieka, który mówił o ludziach, jak o klocach drzewa lub ceglach... Przyszła mu na myśl matka Oficerowa, nie protestująca, kiedy jej synowi dano nazwisko podług profesji ojca, a przecież powinna była wiedzieć, że to nazwisko będzie powodem złych i obrażających drwin z jej syna... Może tylko dlatego Oficerow spędził trzy lata jako skazaniec w dyscyplinarnych kadrach... Przypomniała mu się pokojówka naczelnika więzienia, która za dziesięć rubli przebaczyła znęcanie się nad nią... Oficerow na całe życie wystraszony ludzkim okrucieństwem... bezmyślna litość starca Kornieja, który bez szemrania, ulegając cudzej woli, przez osiemnaście lat powtarza wciąż ludziom jedno i te same tępe słowa: nie wolno! — a nigdy nie zapyta siebie — dlaczego nie wolno?

Nawet we śnie ludzie widzą i czują, że ich biją i, owładnięci strachem, krzyczą przez sen dzikimi głosami:

— Nie bij! Daruj...

— Ludzi nie ma, ludzi! — myślał z bólem Misza. — Po ziemi chodzą jacyś dziwni, nędzni wykonawcy cudzej woli — potulni, to znów źli i okrutni, a zawsze niemal — stworzenia bez własnego „ja”. Prawdopodobnie nawet nie rozumieją tego, co bezmyślnie czynią, i żaden z nich nie odważy się, nie jest w stanie wyrzec tych dumnych ludzkich słów — nie chcę! Więzienie wewnątrz ludzi, i całe życie naokół nich — też więzienie...

Misza przystanął pośrodku celi — uczucie jakiejś lepkiej zimnej nudy nappełniło mu piersi. Za oknem smutnie chwiała się melodia:

A-a-o-oj...

Miszy poczęło się zdawać, że to w nim, w jego piersi drży i jęczy smutek, ból i gorzki wstyd za ludzi...

— Panie... — rozległ się w celi cichy szept. Misza z radością niemal podszedł ku drzwiom — w otworze pośrodku nich łagodnie błyszczały piękne oczy Oficerowa.

— Co takiego? — zapytał Misza.

— Ja tak sobie... Nie śpi pan?

— Nie...

— W więzieniu bardzo wielu źle sypia... Niech pan wysłucha tych wierszy, jeżeli pan ciekawy...

— Proszę bardzo... mówcie!

— Tylko mnie się zdaje, że one są zakazane... To na drugim piętrze było napisane... w wieży, na ścianie, ołówkiem... o, na pewno zakazane...

Oczy Oficerowa znikły na chwilę z krążka we drzwiach, potem utkwili w nim swoje wargi i celę nappełnił cichy, tajemniczy szept, przepojony ciepłym smutkiem i strachem:

Żył na świecie kiedyś człowiek...

Z prawdą tylko był w przyjaźni,

Lecz za przyjaźń jego z prawdą

Z ludzi nikt nie lubił go...

I mówiono o nim wszędzie

Z nienawiścią i ze strachem.

Nigdzie więc nad głowę dachu

Nie znajdował człowiek ów...

Samotny i wszystkim obcy,

Cicho umarł on w więzieniu,

I za trumną jego nikt,

Nikt nie poszedł na mogiłę...

Nie wie nikt, gdzie pochowany

Prawdy druh prześladowanej,

Tylko serce moje zna

Tajemnicę tą... i — milczy...

W okrągłym otworze starych, krzepko spojonych żelazem drzwi, poruszało się coś ciemnego, miękkiego, żywego, rodząc ciche, smutkiem drgające słowa. Misza z szeroko otwartymi oczami stał, nachyliwszy głowę do okienka, słuchał i zdawało mu się, że to właśnie drzewo tych drzwi, które pochłonęło mnóstwo tęsknoty i samotnych dumań, przesycone ciężkimi westchnieniami ludzi, zamieniło ludzkie cierpienie w smutną legendę i teraz tajemniczo ją opowiada. I legendzie tej ledwie dosłyszalnie, wzdychając w mroku za oknem, wtóruje nieskończona pieśń — jęk.

W okienku coś przesunęło się, i po chwili ciepłymi płomykami zajaśniały śmiejące się oczy Oficerowa.

— Podobają się panu? — wyszeptał.

W gardle Miszy zrobiło się sucho, w piersiach zabrakło mu tchu. Uporczywie patrzył w piękne oczy dozorczy i raptem zdało mu się, że to sam Oficerów ułożył te wiersze, niewątpliwie on. Po chwili milczenia odrzekł z cicha:

— Tak — podobają mi się... Dlaczego pan myśli, że te wiersze są zakazane?

— Jakże — przecież o prawdzie! A pasują do Wasyla Nikitycza?

— Nie wiem... być może... A pan sam nie pisuje wierszy?

— Ja? — zapytał zdziwiony Oficerow. — Nie... co znówu? Ja — nie mam odwagi... Tylko, będąc jeszcze w wojsku, ułożyłem sobie jedną modlitwę...

— Jaką? Niech pan powie!

Kilka sekund ciszy i — znów w celi ozwał się szelest prostych, serdecznie wypowiedzianych słów:

— Panie, Boże mój! Czemu w ludziach tak wiele okrucieństwa i złości? Boże — czemu?...

Pytanie to, jak olbrzymia fala, miękko, ale silnie pchnęła Miszę w pierś, porwała go i zmięła. Bezgłośnie zrobił krok w tył, przysiadł na brzegu pryczy i, mocno wciskając się plecami w kąć pieca, nieruchomo patrzył na drzwi i czekał na coś...

Oficerow zaś spokojnie mówił:

— Była długa... teraz już ją zapomniałem... Wie pan — ja bardzo lubię wiersze... zupełnie nie podobne do tego, co mówią ludzie...

Misza widział, że oczy dozorczy uważnie patrzą na niego; słyszał szelest za drzwiami i jednostajne, smutne dźwięki śpiewu za oknem...

Piec grzał go w plecy, ale w piersiach było mu ciasno i zimno.

— Czy pan niezdrowszy? — zapytał dozorca. — Pogoda taka nieznośna...

— Nie, nic mi nie jest... — głucho odparł Misza.

Zdawało mu się, że w celi jest duszno, powietrze jakoś dziwnie gęste, przesycone ciężkim, ciepłym szepceniem, że trudno oddychać tym powietrzem.

— Niech się pan położy — poradził mu Oficerów. — Czas spać.

I wtem dodał:

— Wiem, kogo wsadzono obok pana...

Misza nic nie odpowiedział. Oczy Oficerowa błysnęły łagodnie i zniknęły.

Teraz, na ich miejscu, pozostał tylko okrągły mały otwór pośrodku drzwi, a przezeń widniał na ścianie martwy, szary krążek, oświetlony równym, nieruchomym światłem. Misza patrzył nań z czołem boleśnie zmarszczonym i mówił sam do siebie:

Nigdzie więc nad głowę dachu

Nie znajdował sobie człek...

Za oknem ledwo dosłyszalna wiła się i drżała pieśń... jakby tułając się w pomroce... Jak gdyby ten, co ją zaczął śpiewać, nie mógł już się powstrzymać, poddał się bez woli jej władzy, i zrywał sobie pierś w tej monotonnej skardze...

Później o uszy jego odbiło się niezrozumiałe, urywane stukanie... jakby gdzieś spadło parę kropel deszczu...

Poezja, Modlitwa

Misza zdjął kurtkę i chciał się położyć, ale rzuciła mu się w oczy ciemna plama pleśni w kącie, i raptem przypomniał sobie bezkształtne, zmięte od uderzeń, szare ciało aresztanta pod więzienną ścianą. Owładnięty gorącą falą litości i wstrętu, szybko parę razy przebiegł celę, a potem wskoczył na okno, przywarł głową do żelaznej kraty i, cicho stukając palcami po ścianie, zamyślił się pełen ciężkiej bojaźni.

Z zewnątrz do okiennych szyb ściśle przylgnął gęsty mrok nocy, w milczeniu oglądając bladą, zmizerowaną twarz młodzieńca. Rzadkie, suche płatki śniegu, na mgnienie wynurzające się z ciemności, smutnie szeleściły o szkło i ginęły pochłaniane mrokiem...

Miszy wydało się, że całe życie ludzkie spowite jest gęstą, brudnożółtą chmurą chorobliwie natężonego okrucieństwa. Wszystkie czyny ludzi są jakby przesycone niezrozumiałym bezmyślnym uczuciem wzajemnej nienawiści i wstrętą żądzą tortur, znęcania się, męki. To uczucie otwarte i proste, głęboko ukryte w głębi ludzkiej duszy, chytre, drapieżne lub tępe — ciemne uczucie to nadaje całemu życiu ów ponury ton pełnego tęsknoty jesiennego zmierzchu i przygniatającego chłodu. A wśród tych dzikich zapasów rozjuszonych ludzi, jak płatki śniegu wśród nocy, snują się mili, dobrzy i słabi w rodzaju Oficerowa i jego matki... W głowie Miszy wyraźnie zadźwięczała łagodna skarga:

— Panie, Boże mój! Czemu w ludziach tak wiele okrucieństwa i złości? Boże, czemu?

W jego wyobraźni stanęli wesoło uśmiechnięci „dwaj andrusi” z *Wiaźmy*, przypomniał sobie Jakuba Usowa, głęboko przekonanego o prawie do zabijania ludzi...

I nie wiadomo skąd, pojedynczo, mężnie, jak ognie w ciemnościach nocy zjawiają się surowi, silni ludzie. Chodzą wzdłuż więziennej ściany, i „niezgadzający się z niczym”, w skupieniu zajęci jedną myślą, wypełniającą im całe życie...

— O czym oni myślą?

Misza ciężko zeskoczył z okna i znów zaczął chodzić po celi.

Za drzwiami, w nieruchomej ciszy korytarza kołysał się z wolna dziwny dźwięk, podobny do wrzenia wody. Misza zatrzymał się, nasłuchując... W celi na wprost niego ktoś majaczył, ktoś pośpiesznie mamrotał niewyraźne słowa, dławiąc się nimi, i w słowach tych — też słychać było skargę... W końcu korytarza cicho rozmawiali dozorczy.

— Ot i koniec — usłyszał Misza zadumany okrzyk Oficerowa.

Znów w celi rozległo się jakieś dziwne stukanie; kilka prędkich uderzeń, przedzielonych nieprawidłowymi pauzami. Misza obejrzał się zachmurzony — po podłodze bez hałasu przebiegła mysz — tak jakby przetoczył się małeńki kłębek wełny — i znikła pod pryczą. I jeszcze raz nalegająco zadźwięczało to nerwowe stukanie. Misza domyślił się, drgnął, nie wiadomo po co przycisnął mocno do ściany dłoń swojej ręki i zaczął nią gładzić chropowaty tynk, jakby usiłując pochwycić to stukanie.

Zdało mu się, że dźwięki rodzą się w tym oto punkcie ściany; wtedy ukląkł, zasępił się dziwnie, podniósł rękę, gniewny opuścił ją i bezładnie zabębnił paznokciami w mur... Następnie począł nasłuchiwać — było cicho...

Zerwał się, rzucił się do drzwi i przyłożywszy wargi do okienka, trwożnie, błagalnie, ale niezbyt głośno zawołał:

— Oficerow! Dozorca...

I kiedy Oficerow znalazł się u drzwi, Misza jął szeptać śpiesznie, nerwowo:

— Posłuchajcie... drogi mój! on stuka...

— Wasyl Nikitycz?

— Tak? To on?

— On... ale...

— Powiedźcie mu... szepnijcie — ja nie umiem!

— Boję się...

— To nic! My będziemy — ostrożnie...

— No, a jak się dowiedzą... to mnie...

— Ależ nie! Powiedźcie mu, żeby alfabet... ja nie umiem...

Oficerow odchylił się ode drzwi i z korytarza doleciał jego pokorny szept:

— Dobrze... powiem...

I poszedł... A potem znów się zjawił, błysnęły jego smutne oczy i rozległ się szept:

— Niech pan słucha...

Nie mówiąc więcej ani słowa, Misza podbiegł do ściany, zatrzymał się przed nią z naprężoną uwagą i, uśmiechając się, zastygł, cały ogarnięty dreszczem żądz mówienia, mówienia!

Z na pół otwartymi ustami stał przed szarą potężną ścianą, gotów ją uściskać, patrzył na nią chciwie rozpalonymi oczyma.

Spoza ściany leciały urywane i wyraźne uderzenia jedno po drugim, niezbyt głośne, ale twarde, natrętne, suche dźwięki muru, i palce prawej ręki Miszy, mimo woli drgając, posłusznie je powtarzały...

...W parę dni potem Misza owinięty kołdrą siedział na oknie, mocno przyciskając się ramieniem do futryny i z nachmurzoną brwią rozglądał dziwaczne rysunki zamrozu na szybach.

Za ścianą więzienia, na mroźnym, zimowym niebie wznosiło się niewidzialne słońce; szare, znudzone chmury stawały się jaśniejsze i bardziej przezroczyste.

Spadł śnieg; cienką warstwą pokrywał ziemię, a czarne zamarzłe błoto, każąc¹⁶ jego białość, ponuro patrzyło w niebo.

Drżąc z zimna, Misza przypominał sobie suche, twarde dźwięki, które mu wydała tej nocy porysowana szczelinami stara ściana celi, przypominał sobie i oblekał je w słowa i myśli...

— Tak! Życie — twarde i bezlitosne...¹⁷ Życie, walka niewolników o wolność i panów o władzę, nie może być spokojne i przyjemne, nie będzie dobre i piękne, dopóki istnieją panowie i niewolnicy!...

— Jaki on może mieć głos? — pomyślał Misza o swoim sąsiedzie. Przypomniało mu się jego chude, szczupłe ciało, i powziął przekonanie, że sąsiad jego musi mieć głos wysoki, ostry, nieprzyjemny, pozbawiony zupełnie tych metalicznych piersiowych tonów, jakie dźwięczą w głosach dobrych i miłych ludzi. I Misza z ukosa nieprzyjaźnie spojrzął na ścianę, za którą teraz spał już pewnie ten człowiek, tak podobny do jasno jarzącej się świecy w brudnej latarni.

W pamięci młodzieńca stawały wciąż w poważnych, miarowych szeregach mężne, twarde i zimne, jak kawałki lodu, słowa, formując mocne, zaokrąglone myśli:

— Tak! Życie nie będzie sprawiedliwe i piękne póki jego władcy demoralizują się swoją władzą, a niewolnicy — uległością...

Nie! Życie dotąd będzie przepełnione strachem i okrucieństwem, póki ludzie nie zrozumieją, że zarówno szkodliwie i hańbiąco jest być niewolnikiem, jak i panem...

Chłód poranku mocnym uściskiem obejmował ciało Miszy. Często mrugając oczami czerwonymi wskutek bezsennej nocy, Misza wpatrywał się w mroźne rysunki i oglądał się czasami na ścianę ze złym uczuciem, którego jednak nie chciał w sobie zauważyć, a które mimo woli dostrzegał. Przez parę tych nocy ściana napelniła mu duszę niewyczerpaną ilością szybkich, nerwowych, twardych uderzeń i teraz, kształtując je w zdania, czuł, że serce jego pokrywa się takim samym zimnym rysunkiem, jak mroźne rysunki na szkle okna.

Ale jednocześnie, gdzieś wewnątrz, w głębi zapalała się ciepła, rozgrzewająca myśl:

— Wszystko to niesprawiedliwe i dowolne¹⁸... Czyż można dzielić ludzi tylko na dwa obozy?... A, na przykład, ja? Przecież właściwie ja nie jestem ani panem, ani niewolnikiem!

Ta mała i sprytna myśl, błysnąwszy w jego duszy na kształt iskry, ustąpiła zaraz miejsca wielkim, surowym i twardym myślom. Postawiły one przed młodzieńcem żelazne żądanie pracy długiej, żmudnej, niedostrzegalnej — wielkiej pracy, pełnej niewzruszonego męstwa, spokojnego pogodzenia się ze zwykłą, skromną rolą prostego robotnika, który oczyszcza życie ogniem swojego rozumu i serca ze zgnitego, zmurszałego, potwornego rumowiska przesądów, przekonań, autorytetów i nawyków...

— Czy mogę to zrobić? — uczuwając wewnętrzny dreszcz, zapytał Misza samego siebie.

Okrucieństwo, Władza,
Niewola

Obraz świata, Walka klas,
Buntownik, Rewolucja

¹⁶kazić (daw.) — psuć, zaburzać. [przypis edytorski]

¹⁷Życie twarde i bezlitosne... — ślad rosyjskiej składni, pomijającej orzeczenie; po polsku raczej: życie jest twarde i bezlitosne. [przypis edytorski]

¹⁸dowolne — tu: arbitralne, nieuzasadnione (ros. произвольно). [przypis edytorski]

I w tej chwili zrozumiał, że ze strachu przed czymś, umyślnie zapytał siebie nie tak, jak należało.

Wtedy postawił pytanie szczerze:

— Czy ja chcę tego?

...Nadchodził przenikliwy pochmurny dzień zimowy. Więzienie budziło się — w korytarzu szumnie dźwięczały żelaza zamków, skrzypiały i zawodziły rdzawe zawiasy u drzwi, surowo dźwięczały ostre nawoływania dozorców, rozlegały się chwilami przygłuszone i pokorne, chwilami zaś śmiałe i podrażnione głosy więźniów.

W głowie Miszy zmartwychwstawały dumne słowa sąsiada, które mu wypowiedział przez stare cegły więziennej ściany.

— Kto uwolnił swój umysł z ciemnicy przesądów — dla tego więzienie nie istnieje, gdyż rozkazuje wtedy mówić kamieniom, i kamienie mówią za nas!...¹⁹

...Za oknem, wzdłuż więziennego muru, mocno tupiąc nogami w przemarzniętą ziemię, chodził zamyślony sztyldwach, a na murze siedziała wrona i przechyliwszy na bok głowę, ciekawie mu się przyglądała swoim okrągłym okiem... Misza patrzył w okno i szukał odpowiedzi w swej duszy.

¹⁹*Kto uwolnił swój umysł z ciemnicy przesądów, dla tego więzienie nie istnieje, gdyż rozkazuje wtedy mówić kamieniom, i kamienie mówią za nas!...* — nawiązanie do wypowiedzi Jezusa z *Ewangelii Łukasza: A on odpowiadając, rzekł im: Powiadam wam, jeśli ci milczeli, wnet kamienie wołać będą* (Łk, 19:40). [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wiezienie>

Tekst opracowany na podstawie: Maksym Gorkij, *Więzienie*, tłum. W.P., nakł. Wydawnictwa "ISIS", 1905.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okladka na podstawie: Aapo Haapanen, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0240-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).